

Gdyby przyszedł teraz do ciebie ojciec  
twoj ojciec a mój dziad  
I zobaczył dywany na podłodze w twoim  
mieszkanie

Reprodukcje portretów wielkich dam  
których tak nienawidził  
I stół z mięsem nie tylko na święta  
Schyliłby się przed tobą w pas  
i pocałował  
w rękę.

Nie dziw się ojczu, że ja mimo starych  
dwudziestu pięciu lat chce być lepiej  
w najlepszym ze światów.  
Lej przed spojrzeniem mojego syna  
przerasta mnie ...

### Zbigniew Krempf

**E**GZYSTENCJA, jaką chciał sobie stworzyć, nie kojarzyła mu się jeszcze z czymś określonym. Do domu, a raczej do miejsca, gdzie się urodził, gdzie kiedyś mieszkał z rodzicami, nie chciał wracać. Miał dość pobojowisk cementary i martwych, kamiennych ruin Pragnał obrzytnych ilości czystego powietrza i przestrzeni, po której mógłby swobodnie wędrować wzrok bez napotykania bunkrów, zasieków, snajperskich zasadzek, zamaskowanych stanowisk dział, czołgów, pułapek minowych.

Zastanawiał się bez pośpiechu, odrzucał wszystkie propozycje, jakie mu robiono, nie pytając o zawód, umiejętności i wykształcenie, jak gdyby naramienniki i podzwaniające oznaczenia stanowiły rekomendację na wszystkie okoliczności. Nie chciał być starszą, komendantem milicji, kierownikiem PUR-u, administratorem majątku, pełnomocnikiem do czegoś tam, ani dyrektorem banku. Ta ostatnia propozycja rozśmieszyła go. Zobaczył siebie w ponurym gmachu między wyblakłymi urzędnikami i skarbcem, pełnym pieniędzy, jak beznadziejnie usiłuje zrozumieć sens swojego stanowiska, jak podpisuje rachunki, czy jakieś inne papiery, o których znaczeniu nie ma pojęcia. Czuli się zmęczeni. Najchętniej zaszyłby się na odludziu, gdzie można by spać, lazić bez celu, patrzeć godzinami w niebo. Zdawał sobie sprawę z jawności tych marzeń, chociaż wydawało się, że do ich spełnienia wystarczy tak niewiele. Zazdrościł swoim żołnierzom, byłym żołnierzom. Śpieszycym się do demobilizacji do domu. Zazdrościł Bronkowi, starszemu sierżantowi Kowalczykowi, co to ułożył sobie swój plan na trzy miesiące.

— Ja to tak — mawiał starszy sierżant Kowalczyk — przyjeżdżam do chałupy każe matce rozpalic ogień i nastawic wody. Kapie się, gole łeb do górej skóry, drę wszystko, w czym orzechyłem na strzyż i w piec. Potem wlaże do łóżka. Pod spodem ma być pierzyna, pod głową trzy poduchy, na mnie pierzyna. Każe się ojcu budzić trzy razy na dobę. Za każdym razem ojciec ma krzyknąć pobudka, albo alarm. Alarm, to w nocy. Budzić się, pytam: wojna? Ojciec na to: skąd dawno po wojnie. To ja na to: Nie tak dawno, bom jeszcze niewyspany. I obracam się na drugi bok. A do jedzenia żadnej kaszy, żadnego orzechu, żadnej słowiny, żadnej konserwy. Mleczna zupka, albo jarzyna, nie więcej. Po trzech miesiącach wstać, ide się elegancko ostrzyż i ogolić, i dopiero wtedy wyjąć stać się normalnym człowiekiem. Amen.

Miał kilka razy chęć pojechać do Kowalczyka, aby się przekonać czy wykonuje ten plan, ale obawiał się, że zupełnie poważnie że zostanie tamtego nadzwyczaj w łóżku wylegującego się i chleczącego mleczną zupę.

Gdyby nie przypadek, nie lechałby na północ wozem, zaprzężonym w wysoko-nogi, chudego walacha. Walał się za miastem i zobaczył ten wóz, wymoszczony słomą, z którego wystawały dwa pokątne toboły. Kłatka z chrząkającym wieprzkiem i wielka beczka. Na wozie siedział wspaniały, choć niestary mężczyzna, obok niego kobieta w czerwonej chustce na głowie i dziewczynka z zadartym nosem.

Mężczyzna zatrzymał konia, dotknął palcami daszka czapki.

— Pan porucznik będzie wiedział, którą drogę do Urwiska? — zapytał.

— Do urwiska? Nie mam pojęcia. Ale tu wszędzie płasko, jak na stole, nie słyszysz o żadnym urwisku.

— A bo to, panie poruczniku, nie takie zwyczajne urwisko, tylko wiesz tak się nazywa — wyjaśnił mężczyzna — Nad samym morzem ponoć leży rybacka wieś.

— Nad morzem Rybacka wieś — powtórzył bezwiednie — Jeżeli wam się bardzo nie śpieszy i zechcecie dać mi miejsce na wozie, to pojedź z wami.

— Czemu nie — Mężczyzna spojrzal na kobietę, siedzącą w milczeniu, z reklamami splecionymi na wydatnym brzuchu — Jak pan porucznik dużego bagażu nie ma, możemy zabrać. Raznie będzie z wojskowym, bo to czas jeszcze niespokojny.

— Bagaż? Walizczkę mam i plecak.

— To prosimy, panie poruczniku, prosimy.

— Świętnie. I przestanie z tym porucznikiem. Nazywam się Dominik Konar.

— A my, Popielakowie. Ja Eustachy, żona moja Francka, a córka Helka.

Podjechali do kwatery Dominika. Zgarnął swój frontowy matulek, zbiegł na ulicę. Walizkę i plecak rzucił na wóz, usiadł na tobole z pościelą.

Wóz toczył się z cichym brzęczeniem po asfaltowej drodze. Podkowy wystukiwały jednostajny rytm, tworząc z brzęczeniem i chrząkaniem wieprzka jakąś smętną, monotonna melodię.

Dominik poczuł, że Popielakowie papierosem, nałili w milczeniu i patrzył na plaskie tola. Głęboko wzdychał samotnie kęsa drzew, daleko z prawej ciemniała smuga lasu. Nie wiedział, co go nagle ochłodziło, ale to było w niepamięć z nieznanych ludzi. Morze widział raz w życiu, w Kolobrzegu. Wtedy było tak szarówką, no nie takie małe, tylko takie zamknięte, brudne, cuchnące. Nie miał wtedy czasu na uświadomienie sobie, że jest nad Bałtykiem. Ledwo znikli obrysy hilerowców, ruszył znowu dalej. Zwiad potrzebny był na drodze, przed wzrokiem O Zastubinach dowiedział się o "olegów" a może z armijnej gazety przy recepcji papierosa, w każdym razie pod samym Berlinem, na przedmieściach. Tak, wytał coś o pięciuset kilometrach wybrzeża, niewiele go to obchodziło, choć artykuł podkreślał historyczny moment. Dla niego historycznym momentem było wejście do Berlina. Do tego Berlina, co był miastem politycznym na drodze do kresu wojny. A teraz jedzie nad morze, siedzi na pierzy-

nach wśród przypadkowych, obcych ludzi i pozwala się wieść do jakiegoś Urwiska.

— Był pan już kiedyś w tym Urwisku? — zapytał Popielak.

— I gdzie tam. Brat żony wiadomość przysłał, żeby przyjechać, do gospodarki puste stoja, a u nas... — Machnął ręką. — Pół morgi kamieni i koza w sieni, jak powiadają.

— O, widać widać — zawołała Helka. — To już nasza tato?

— Gdzie ci tam nasza. Do naszej trzeba skręcić z szosy jak czolg niemiecki napotkamy, jak wulek Justyn oisal — Popielak odwrócił się do Dominika. — Kazał lechać szosą, na północny zachód, to chyba dobrze jedziemy co?

— Na pewno — Dominik skinał głową i utknął znowu w swoich myślach.

Zeby nie ten przypadek siedziałby jeszcze w narożnym pokoiku czekał na nie wiadomo co. Chciał przypadków podobno nie ma jak mówił zawsze starszy sierżant Kowalczyk.

— Przypadek, to jest łapanie byka za rog — mawiał — Wszystko ma swoje znaczenie i przeznaczenie. tylko oczy trzeba mieć otwarte i wiedzieć, co i kiedy się w życiu przyda.

ten miał wyjątkowe szczęście do zdobywania koniaków. Nie pił innego alkoholu. Mówił, że musi na całe życie zapas zrobić, bo jak wróci do domu, to już najwyższy bimber pić będzie, albo ojcowską nalewkę na pestkach.

Jedli powoli chleb z masłem, obłożony grubymi plasterkami sera. Helka ułożyła na wielkim liście obłożone jajka na twardo.

— Jak Justyn, szwagier znaczy, napisał, żeby przyjechać, nie wiedzieliśmy co robić — mówił Popielak. — Bo to moja na ostatnich nogach i droga daleka. Aleśmy sobie powiedzieli, gorzej nie będzie. Siedzieć na kupie w jednej izbie i dłużyć w tym splechku ziemi to żadne widoki. To się sprzedało, co było koniam kupił i jarda. Nie strach mi od nowego zaczynać, jak nie i tak nie mam, prawda? A pan porucznik nad morzem kiedy był?

— Byłem w marcu. Ale krótko. Tyle, że zobaczyłem i musiałem dalej.

— Jasne — Popielak pokławił głową. — Ja znowu w górach byłem w Bawarii. W zeszłym roku mój bauer do Łodzi pojechał, żeby swoją synową zabrać z dziećmi. Wziął mnie ze sobą do pomocy, niby, ale mój się zgubił — Zażmiał się. — Inaczej bym do tej pory może do domu nie zdążył.

Dominik kiwał sennie głową. Koniak rozgrzał go, rozleniwiał. Najchętniej położyłby się w młodej zieleni spać. Rodzina Popielaków zaczęła go drażnić. Nie wiedział, co jest powodem tego. Był mi tyżliwi; sam się czesza wprost na łeb wóz.

— Będziemy lechać — Popielak spojrzal w niebo. — Nie wiem, jak tutaj, ale w naszych stronach jak się niebo takie migotli-wie robi, to znaczy, że deszcz blisko. Wstał, napolił konia w rowie melioracyjnym i narzucił mu urząz. — Według tego co szwagier pisał, będzie jeszcze od tego czołgu ze trzydzieści kilometrów do Urwiska. Chciałbym ja już ten czołg widzieć — powiedział pomagając żonie wejść na wóz.

Wóz potoczył się znowu monotonna szosą. Dominik drzemał, podrywał głowę, kiedy opadała mu do progu. Chciał wyprytować Popielaka o nadmorską wieś, lecz zrezygnował z tego. Coś mógł dowiedzieć się Popielak od swojego szwagra w jednym, zapewne krótkim liście?

Po prawej stronie szosy ukazała się sylwetka czołgu. Stał pochylony ukośnie na zbrocu, wsparty łufą działa na przymie kamieni. Z przodu słupek sterowało pogięte żelastwo. Pokrywy wiazów były otwarte.

— O, jest czołg! — krzyknęła Helka. — Niemiecki, bo ma krzyż!

Koź pasknął, szarpnął dyszlem i pociągnął wóz na lewą stronę szosy.

Popielak ściągnął cugle, przyłożył mu bitem.

— Gdzie lechasz? Czołgu nie widział, durny — roześmiał się.

— Musi w tym czołgu coś poczuł — odezwała się Popielakowa i zrobiła szybki znak krzyża. — Może trupy tam są, albo co?

— Tyle czasu trupy? Co pan porucznik na to? — Popielak spojrzal z niedowierzaniem na czołg. — Może by zajrzeć?

Dominik skrzywił się.

— Zaglądać nie warto. Chociaż możliwe, że zaloga tam została.

— A niech tam — mruknął Popielak i podniósł się nagle ze swego siedzenia. — Jest droga! Patrzajcie, jest droga! Dobrze Justyn mówił! Wio, kasztan!

Skręcili na brukowaną drogę. Wóz zaczął podskakiwać z turkotem po kamieniach.

— Tośmy już nie bardzo daleko — cieszył się Popielak. — Do nocy zajdziemy!

Dominik wyciągnął papierosa, poczuł, że Popielak Odczuł jakąś ulgę, jakby fakt, że są blisko Urwiska miał dla niego ogromne znaczenie.

Obudzili się, otworzyli oczy i ze zdumieniem spojrzali na pochyloną ścianę nad sobą. Zraz jednak przypomniał sobie nocny przyjazd do wsi, długie łomotanie w drzwi domu szwagra Popielaka i powitanie krewniaków. Ten szwagier, Justyn Łuczakowicz, był mężczyzną potężnym, szerokim w barach. Wyglądał raczej na ojca Popielakowej, niż na brata, choć był tylko dwa lata starszy od niej.

— Wytrzeźło was, widzę, jak ziarno na rzeszece — powiedział o przywitaniu się. — Ziemię coś i spać. Rano będziemy dalej radzić.

Zaprowadził Dominika na niskie piętko do niewielkiej mansardy, gdzie stało tylko wąskie łóżko i jedno krzesło.

— Zmieści się porucznik, co? — roześmiał się basem. — Wygląda na małe, ale ja też tu spałem. Niech sobie porucznik porządnie wypocznie.

### POLSKA Z LOTU PTAKA



Palacysk myśliwski Potockich w Julinie koło Łańcuta. Obecnie znajduje się tu ośrodek wypoczynkowy włośniarzy. Piękne, zalesione okolice są doskonałym miejscem relaksu.

CAF — ANDRZEJ ŁOKAJ

## ODRODZENIE ZLP — NAJWŁAŚCIWSZĄ DROGĄ...

(Rozmowa z pisarzem Andrzejem Przypkowskim)

— Rozwiązanie ZLP wywołało wiele komentarzy w środowisku literackim i poza nim. Jakże jest Pańskie zdanie na ten temat?

— Uważam, że fakt niefunkcjonowania ZLP w okresie stanu wojennego, ale i nieco wcześniej, co było związane z toczoną walką polityczną nie mającą nic wspólnego z dobrem literatury i literatów, odbił się ujemnie na sytuacji w kulturze. Chocoby przez to, że reprezentacja pisarzy nie uczestniczyła w podejmowaniu decyzji nie-słychanie ważnych, jak na przykład powo-tanie Narodowej Rady Kultury czy próby wyjęcia z Impasus książkowego. Stąd też inicjatywa nie tyle powołania nowej organiza-cji pisarskiej, ile jej odrodzenia, odpowiada nie tylko potrzebom chwili, ale w moim najgłębszym przekonaniu jest najważniejszą drogą do oczekiwanego przez wszyst-kich wyjścia z kryzysu w tej dziedzinie.

Cieszę się także z tego, że zarówno smoz-rządność, jak i pluralizm światopoglądowy naszej kultury znalazł swoje odbicie w no-wym statucie tej organizacji.

— Jest Pan jednym z współautorów tego nowego statutu ZLP, czy można zatem prosić Pana o kilka słów refleksji w tej sprawie?

— Zasady organizacyjne odrodzonego ZLP zakładają pełną otwartość dla tych wszyst-kich członków b. ZLP, bez względu na światopogląd czy metody twórcze, uznają-cych pryncypia ustrojowe zawarte w Kon-stitucji PRL. Niedobrze byłoby gdyby nowy ZLP zaczął od procedur weryfikacyjnych. Na szczęście nikt nie ma tego zamiaru.

— Co zatem Pana zdaniem powinno zna-leżeć się w centrum zainteresowania nowej organizacji pisarskiej?

— Sprawy takich jest mnogość. Niemniej zacząć należy od zdecydowanych kroków, które zahamują postępującą pauperyzację środowiska ze względu na kryzys. Ważna jest też odnowa środowiska: pod względem moralnym i materialnym. I znowu muszą po-wiedzieć, że niedobrze się stało, że wiele decyzji administracyjnych, jak stawki i poli-tyka podatkowa, było przedsięwziętych bez udziału reprezentacji środowiska. Stąd pil-

na potrzeba starań o poprawę bytu pisarzy? Wyraźnie chce przy tym zaznaczyć, że nie idzie tu o żadne przywileje, lecz o takie wynagrodzenie za wykonywaną pracę, które byłoby równoważne ze średnią płacą w Pol-sce. nierozwiązane są też problemy wyda-wnicze, druk książki w Polsce trwa stanow-czo zbyt długo, bo aż parę lat.

— Jak w Pańskiej konkretnej sytuacji wygląda te kłopoty i pisarskie problemy dnia codziennego?

— Od dwu lat nie ma żadnej mojej książki w sprzedaży ze względu na ten dłu-gi cykl produkcyjny. Reprezentuję taki po-gład, odnoszący się do nas pisarzy zawodo-wych, że autor, który chce być obecny na rynku wydawniczym musi często dostarczać wydawcy swoje książki, wspierane wzno-wieniami! Jeśli zgodzimy się, że pisarstwo bywa także i zawodem, a nie tylko powola-niem, to należy stworzyć warunki do upra-wiania tego zawodu. Jeszcze raz podkre-slam, że pisarze nie żądają od państwa stworzenia im miejsc pracy, a dziś każde nowe miejsce kosztuje od miliona do kil-kudziesięciu milionów złotych, a chcą jed-ynie mieć prawo do rekompensaty za włas-na, samotną pracę.

— Jest Pan, jak wiadomo pisarzem popu-larnym, kolejne Pańskie książki, takie jak „Gdzieś we Francji”, „Gdy wrócisz do Montpelier...”, „Księżyc nad Sierra Leone”, „Areną” i wiele innych, miały po kilka wznowień, które szybko zniknęły z księgar-skich półek. Co polawia się na nich w naj-blizszym czasie?

— Oczekuję właśnie ukazania się mojej nowej powieści pt. „Opętani”, nakładem KAW w Łodzi. Ze wznowień zaś, tak się szczęśliwie i nietypowo złożyło, że w naj-blizszych dwu latach okaza się kolejne wy-dania niektórych moich książek powięści dla młodzieży „Jak mewy” (MAW), czwarte wydanie powieści „Gdzieś we Francji” (MON) oraz powieści „Areną” (wydawnictwo „Globe” w Szczecinie).

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: JAN REMET  
(Krajowa Agencja Robotnicza)

# PIERWSZY OBIĄD (Opowiadanie)

Wciąż nie przypadek. Niech będzie złapanie byka za rog. Miał oczy otwarte i zobaczył wóz toczący się nad morze. Może tam znajdzie swoją spokojną egzystencję, z widokiem i przestrzenią, z czystym powietrzem. Tylko trudno było samemu powietrzem, choćby natęższym Ci ludzie iada, bo go-spodarki stoja puste. Zagospodarują się, beda orać i siać i zbierać. Ziarno na chleb, ziemniaki. Wieprzka — wozu za sobą; jak zechca, mogą w przelagiu godziny jeść tu-sze mięso.

Poczuł się senny, zwiesił głowę na pierś, powieki opadły bezwładnie. Ocknął się na ostry dźwięk klaskosu. Wielka ciężarówka wyprzedzała ich z guchym warkotem. Spod mandekki wychylił się łacyj ludzie, machali reklamami, krzyzcili coś ze śmiechem. Helka podniosła rękę.

— Takim to dobrze — powiedział Popie-lak. — Szybko jada, nie to, co my. — Strzeżli z bata — Wio, kasztan, bo za-żnieca! — Zawołał i znowu obejrzał się na Dominika. — Pan porucznik to pewno obez-nany w mapach — Slegnął do kieszeni. — Szwagier taki plan przysłał, jak jechać. — Podał mu wymiata kartkę.

Dominik wyjął papier na kolanie. Plan był prymitywny. Dwie kreski oznacza-ły szosę. W pewnym miejscu narysowany był skośny prostokąt z kółkiem i kreska podrodku. Obok napis „czołg”. Zaraz obok strzałka wskazywała dwie następnie, prostoa-ńdła do szosy kreski. Prowadziły one do prostokąta z napisem „bunker”. I stamtąd w lewo, równoległe do falistej linii, by do-trzeć do dwóch rzędów prostokątów pod na-pisem „Urwisko”.

— Wszystko jasne, jeżeli jedziemy wstafel-wą szosą — powiedział Dominik. — I jeżeli przy szosie będzie tylko feden czołg.

— Pisał szwagier że taki wywrócony do roku tylko jeden będzie — Popielak cmoknął znowu na konia. — A szosą musi być to właśnie Inneł tu nie ma.

Dominik oddał mu plan. Skoro wszystko jest takie proste, to po co pytanie o drogę, po co podsuwanie, jako „fachowcowi”, planu drogi? Zwykle grzeszonołowce formy, próba zbliżenia.

— Zatrzymał trzeba odpocząć i zjeść coś — odezwała się Popielakowa.

Popielak wskazał bitem kępa drzew.

— Tam stanjemy, cień będzie.

Wóz zjechał na polną, zaroiętą drogę. Popielak wyprzedził konia, spętał mu przed-nie nogi. Popielakowa zeszła z wozu, Helka podała jej wiklinowy kosz, przykryty bia-łym ołótnem. Usiedli w cieniu Popielakowa wyjecha z kosza chleb, osetkę masła w Hciach łopłanu, jajka i ser. Helka ustawiła fajansowe kubki na trawie, nalewała do nich w skupieniu herbatę z emalowanej baki.

— My może z panem porucznikiem coś ostrzejszego na apetyt poprobujemy? — Po-pielak mruknął, wydobyl spod słomy zieloną butelkę. — Nie odmówi pan?

— Nie odmówię. Tylko odrobnie.

Popielak wdmuchnął fędzia słomy z dwu nekatech szklanceczek po musztardzie, na-pełnił je analizującym płynem.

— Trochę, jak to się mówi, koniak. Brat żony nam odesłał, razem z wiadomo-ścią, żeby przyjechać. — Popielak podał, Dominikowi szklanceczkę, uniósł swoją. — Na zdrowie.

Dominik upił łyk, poczuł znajomy smak. Przypomniał sobie znowu Kowalczyka. Tam-

Mieczysława Teodorczyk

N A DLUGO przed powstaniem sieci klubów „Ruch” i „Rolnika”, we wsiach funkcjonowały świetlice. Budowali je mieszkańcy własnymi rękami i za własne pieniądze. Często, by zebrać trochę grosza urządzali zabawy taneczne i wystawiali spektakle teatralne. Przez długie lata świetlice były jedynymi ośrodkami kultury we wsi, miejscem spotkań mieszkańców; tu uczono się abecadła życia kulturalnego, tu rodziły się potrzeby czynnego uczestnictwa w kulturze poprzez udział w ruchu amatorskim.

Świetlice spełniły swoje zadanie. Generalny ich koniec nastąpił w latach sześćdziesiątych, kiedy pojawiła się przed wsiami szansa działalności bogatszej, w lepszej wyposażonych lokalach, gdzie wchodził w życie...

utrzymanie świetlicy łączy Urząd Gminy i OSP. Kierownik placówki zatrudniony jest w wymiarze 1/4 etatu z wynagrodzeniem 3360 zł miesięcznie. Wnioski nasuwają się same...

Najwięcej świetlic, bo aż trzy, przetrwało w gminie Rytwiany. W Świećnicy mieści się ona w nowo wybudowanym Domu Strażaka. Jest też nieźle wyposażona, posiada radioodbiornik, magnetofon, aparat nagłaśniający i telewizor. Czynna jest trzy razy w tygodniu: środy, soboty i niedziele, od godz. 17-22. Przychodzi tu chętnie młodzież, ogląda programy TV, czyta prasę (8 tytułów dzienników i czasopism), urządza dyskoteki, gra w szachy, warcaby itp. Świetlica ta jest ośrodkiem życia towarzyskiego i rozrywkowego miejscowości. Kierownik świetlicy Stanisław Noga, legitymujący się wy-

CZY MUSZA WEGETOWAĆ?

cie rytuał kawiarniany sposobu picia herbaty czy kawy. Szansę tę miały stworzyć wiejskie kluby. Zakładano je najczęściej w dawnych świetlicach remontując je i modernizując. W południowo-wschodnich województwach do dziś przetrwało bardzo niewiele świetlic. W niektórych kilkanaście, w innych kilkadziesiąt, a przecież przed rokiem sześćdziesiątym były ich setki. Te ostatnie dawnego życia kulturalnego węgietują. Świetlica w Dąbiu, woj. tarnobrzeskie, może być przykładem. W latach trzydziestych wzniesiono ją we wsi czynnym społecznym. Była to placówka tętniąca życiem. — Mielismy osiągnięcia — mówi kierownik placówki Jan Pietras. — Przyjeżdżali tu znani pisarze, wielu interesujących ludzi głosiło wykłady w naszym uniwersytecie ludowym. Odbywały się zabawy. Toteż w roku 1962 otwarto tu pierwszy wiejski ośrodek kultury w powiecie janowskim (dawniej woj. lubelskie).

kształceniem średnim, oczekuje na pomoc instruktazką. Istnieje bowiem możliwość założenia zespołów i kół zainteresowań. Odczuwa się ponadto potrzebę uruchomienia punktu bibliotecznego. Aż się prosi, by placówką tą zainteresował się staszowski dom kultury i Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Tarnobrzegu. Należałoby także wyasygnować środki na wzbogacenie świetlicy w sprzęt, gry stolikowe, chodzić również o zwiększenie liczby tytułów czasopiśm.

W tej samej gminie funkcjonuje także świetlica w Kłodzie. Mieści się ona w gorszych, od poprzedniej, warunkach: zajmuje jedno pomieszczenie w budynku starej szkoły. Jej wyposażenie stanowią cztery stoły, dziesięć krzeseł, szafa, telewizor, magnetofon, stół pingpongowy, szafy i gry stolikowe. Placówkę tę otwiera się cztery razy w tygodniu, bo takie są potrzeby mieszkańców wsi. I tu również przychodzi dużo młodzieży i można ją także zainteresować udziałem w zespołach amatorskich.

Kolejna świetlica znajduje się w miejscowości gminnej Rytwiany. Mieści się w budynku murowanym i posiada całkiem niezłe warunki do działalności. Kierowniczką świetlicy Janina Podkova prowadzi zespół recytatorski i kółko plastyczne. Jest to chyba ewenement na skalę województwa tarnobrzeskiego! Odbywają się tu projekcje filmów rozrywkowych i oświatowych dla dzieci i młodzieży. Dzięki staraniom świetlicowej zakupiono ostatnio aparat nagłaśniający i nowy magnetofon.

Czy warto utrzymywać świetlice wiejskie, skoro mieszkańcy mają lepiej od nich wyposażone domy? Mimo to warto, w dalszym ciągu pełnią rolę placówek początkującej edukacji kulturalnej nie tylko zresztą młodzieży wiejskiej. Wątpliwostką należałoby sformułować inaczej; co zrobić, by pracowały one lepiej i w bardziej komfortowych warunkach. Konieczne trzeba je wyposażyć w sprzęt i środki audiowizualne, w większej liczbie przypadków wyremontować i odnowić, wesprzeć instruktazką. Świetlice wiejskie nie kosztują dużo. Niezbędna jest większa aktywność społeczna mieszkańców wsi, a głównie młodzieży, zarówno w tworzeniu programów tych placówek, jak i ich urzeczywistnianiu. Świetlice wiejskie węgietować przecież nie muszą.

CZEGO UCZY KOMSOMOL

W tym tygodniu, 29 października, mija 65 rocznica utworzenia Komsomolu, czy Wszechzwiązkowego Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży. Z tej okazji poprosiliśmy o kilka refleksji wiceprzewodniczącego ZW ZSMP w Rzeszowie ANTONIEGO BAZERĘ, który w roku akademickim 1981/82, był słuchaczem Wyższej Szkoły Komsomolskiej w Moskwie.

Jak trafiliśmy do tej szkoły? Byłem wówczas od niedawna pracownikiem etatowym ZW ZSMP, wcześniej przewodniczącym koła ZSMP na jednym z wydziałów rzeszowskiej WSK. Miałem także za sobą kurs w Szkole Oficerów Rezerwy i studia w zakresie fizyki w WSP w Rzeszowie.

Wyjeżdżaliśmy w grupie liczącej około 30 osób, do której wchodził członek ZSMP i harcerze. Przed wyjazdem spędziliśmy jeden miesiąc na obozie w Śródborowie, przeznaczony głównie na naukę języka rosyjskiego.

Pierwsze zaskoczenie zdarzyło się już na dworcu w Moskwie: powitano nas, jak oficjalną delegację, był nawet bochen chleba i sól. Po raz pierwszy znalazłem się w takiej sytuacji. Wcześniej byłem tylko raz w Związku Radzieckim i to na wycieczce turystycznej.

kowa. Dopiero po kilku miesiącach zdobyliśmy pewną wprawę.

W trakcie rocznej nauki przewidziano trzy tygodniowe praktyki, przeznaczone na bezpośrednie poznanie pracy organizacji partyjnych i komsomolskich, na spotkaniach w zakładach pracy, kolchozach i sołchozach. Moja grupa odbywała praktykę w Brińsku, potem w Kiemlewie na Syberii i na końcu w Leninogrodzie.

W czasie tych spotkań zwracało uwagę przywiązanie młodzieży do tradycji i powszechna znajomość historii. Zawsze wzięłyśmy rozpoczęliśmy od izby tradycji i zawsze dawaliśmy się odczuć, że młodzież zna dobrze historię swojego regionu i zakładu pracy. Poza tym uderzała gościnność gospodarzy. O Polakach także mówili, że są gościnni, ale to, z czym spotkaliśmy się na Syberii, przeszło na-



Pierwsz absolwenci szkoły średniej działającej na terenie BAM.

Fot. W. ARUTUNOW

Duże wrażenie robiła sama szkoła. Słuchaciami byli młodzi ludzie z wielu najrozsławniejszych krajów świata. Niektórzy z nich, zwłaszcza pochodzący z Ameryki Łacińskiej, przyjechali do Moskwy w tajemnicy przed rządami swoich krajów. Podróż zajmowała im kilka lat, żeby mogli zmieścić się na samolocie.

Od samego początku w celu lepszego poznania się organizowano szereg spotkań. Już pierwszego dnia, po przyjeździe spotkaliśmy się z Węgrami. Wyglądali to dosyć zabawnie, bo trudno nam się było porozumieć. Oni na ogół nie mówili po rosyjsku, a nas tylko niektórzy znali niemiecki. Dopiero po kilku miesiącach doszliśmy wszyscy do takiej znajomości rosyjskiego, że można było porozumieć się swobodnie z każdym słuchaczem szkoły.

Najbardziej utkwiło mi w pamięci spotkanie z młodzieżą Argentyńczykami. Wcześniej nie wiedzieliśmy o sobie prawie nic, natomiast w czasie spotkania wyjątkowo przypadły nam do gustu przysmaki argentyńskiej kuchni.

Zajęcia w szkole odbywały się od 8 do 14. takte w soboty. Często również po południu organizowano seminaria. Uczyliśmy się głównie historii KPZR i Komsomolu, filozofii marksistowskiej i ekonomii politycznej. Ponadto wszyscy uczęszczali na lektorat z języka rosyjskiego. Wykładowcą słuchaliśmy po rosyjsku, w tym języku trzeba było także studiować literaturę i zdawać egzamin podczas dwóch sesji, organizowanych na zakończenie każdego semestru. Nie od razu przychodziło to łatwo. Szkolna znajomość rosyjskiego okazywała się niewystarczającą, zwłaszcza wobec konieczności posługiwania się terminologią nau-

szę oczekiwania: dosłownie cały kolchoz wyszedł nas witac, byliśmy zapraszani przez ludzi do ich mieszkań.

Podczas tych praktyk, zdobyłem także wyobrażenie o skali radzieckiego przemysłu i rolnictwa. W obwodzie klemierowskim znajdują się na przykład odkrywkowe kopalnie węgla, w których ogromne koparki wydobywają więcej węgla, niż wydobywa się go w Polsce. Albo rolnictwo: wyobraźcie sobie kilka tysięcy hektarów marchewki. To wygląda, jak wielkie czerwone morze.

Świerdziłem po powrocie do kraju, że nauczyłem się tam przede wszystkim rzeczowego, mniej emocjonalnego spojrzenia na wydarzenia polityczne. Jest to niewątpliwą zasługą wykładowców, którzy potrafili podchodzić do wydarzeń w sposób analityczny, uczyli ostrzeżać uwarunkowania i prawidłowości.

Na przykładzie Komsomolu przekonałem się także, że może istnieć spójny system wychowawczy, w którym treści wychowania w rodzinie, w przedszkolu, w szkole i zakładzie pracy wiążą się harmonijnie ze sobą.

Moim trzecim ważnym spostrzeżeniem z pobytu w szkole komsomolskiej jest znaczenie wychowania przez pracę. W Moskwie znajduje się na przykład ogromna baza, w której rozładowuje się pociągi dostarczające do stolicy ziemniaki. Te podlegi rozładowują komsomolcy w czynie społecznym, ochotniczo brzydą pracując przez całą dobę. My także przepracowaliśmy jedną noc w tej bazie, zmęczaliśmy się przy tym potężnie — i potem już bardzo ostrożnie obiecaliśmy ziemniaki w szkolnej stołówce. Na wszystkich obozach, nawet pionierskich, młodzież nie tylko wypoczywa, ale zawsze trochę pracuje. (wr)



Kapela ludowa „SWATY”, działająca przy Towarzystwie Młolników Muzyki i Folkloru w Krośnie jest charakterystycznym dla polskiej kultury przedstawicielem ludowego nurtu muzycznego. Zorganizowana w 1972 r. przez Bolesława Pudłowskiego, składa się z ludzi, którzy od najmłodszych lat muzykowali po wiejskich zabawach i weselach, skąd czerpali ludowy repertuar, składający się z melodii i przypiewek wiejskich. Kapela „SWATY” prowadzi odmienną działalność koncertową. Brała udział w licznych orzeładach i festiwalach krajowych, dokonała nagrań radiowych, występowała w TV. Gościła również w NRD, ZSRR i na Węgrzech. W listopadzie, kapela wraz z zespołem tańca ludowego „Podziemie” z Gliwicami udaje się na tournée po Holandii, gdzie została zaproszona na uroczystości związane z 60-leciem Związku Polaków w Holandii. (not)

Zbigniew Wawszczak

Żegnając ALEKSANDRA RYBICKIEGO...

Kultura narodowa posiada bolesną stratę: w Sanoku zmarł Aleksander Rybicki, twórca i założyciel Muzeum Ziemi Sanockiej i Muzeum Budownictwa Ludowego, znakomity kolekcjoner, zasłużony w ratowaniu dóbr kultury, długoletni dyrektor muzeum skansenowskiego, niezrównany znawca kultury południowo-wschodniej Polski.

groźnia, sdołał ukryć część cennych muzealów poza Sanokiem. Okres okupacji rozpoczął nową epokę w jego życiu, epokę tragiczną i bohaterką zarazem. Z wściekłą energią rzucił się w wir pracy konspiracyjnej. Scigany zaciekłe przez hitlerowców, po wielokroć wymykał się im z rąk, zmieniając się to w chłopa, to leśnika, to duchownego... Jego okupacyjny pseudonim „Jacek”, który jest jeszcze jednym świadectwem głębokich związków, jakie łączyły Rybickiego z polską tradycją kulturalną, wywodzi się wprost z „Pana Tadeusza”. W sanockim mieszkaniu pana Aleksandra oglądałem charakterystyczne zdjecie, przedstawiające brodatego „Jacka”, konspiratora w zakonnym hablicie. Gestapo wiecie, że nie może, mimo ogromnych wysiłków, osiągnąć Rybickiego, aresztowało jego żonę, będącą w pierwszych miesiącach ciąży i zostało ją do Oświęcimia, gdzie ją zamordowano.

nych doświadczeniach wojennych, nie było rzeczą łatwą ani prostą. Ktoś inny, mniej twardy od pana Aleksandra, spędziłby resztę życia narzekając na wyjątkowo złośliwość losu. Inaczej postąpił Rybicki. Skoro się tylko rozszedł wokół, skoro zobaczył, jak niszczyją ocalałe z wojny i powojennych zmagani z nacjonalistycznymi grupami zbrojnymi spod znaku Tryzubca, zabytki kultury ludowej Bieszczadów, nie wahał się ani chwili. Postanowił, że oto on, człowiek samotny, boleśnie okaleczony i ograbiony przez wojnę, poświęci resztę swych dni na ratowanie tego wszystkiego, co pozostało z dawnego bogactwa kultury grup etnicznych, zamieszkujących obszary dawnej ziemi sanockiej. Nie długo zrodził się projekt powołania w Sanoku muzeum kultury ludowej, zwanego inaczej, za Skandynawią, gdzie się zrodziło, skansenem. Rybicki użył całej swojej energii, aby przekonać kogo trzeba, przełamał istniejące uprzedzenia, do potrzeby i celowości takiego przedsięwzięcia. Udało mu się; w roku 1958, a więc zaledwie w dwa lata po powrocie do kraju, Ministerstwo Kultury i Sztuki zatwierdziło założenia skansenu, który stanął miał na prawym brzegu Sanu, u stóp wzgórza swanego Białą Górą. Stopniowo nadal pracom organizacyjnym, remontowym i budowlanym ogromnym rozmach, rozumiejąc doskonale, że musi podjąć wysiłek z czasem po to, aby zdążyć z uratowaniem dziesiątków cennych, niepowtarzalnych obiektów architektury ludowej i ich wyposażenia, zagrożonych zniszczeniem. W ten sposób pod kierownictwem niezmordowanego dyr. Rybickiego rozdziło się największe dzisiaj muzeum skansenowskie w kraju, stale rozwijające się, preny ośrodek, stynący z wielu rozmaitych inicjatyw.

Urodził się w roku 1903 na ziemi sanockiej i ten fakt a także dzieciństwo i młodość spędzone wśród wyjątkowo pięknych pejzaży Gór Słonnych, wywarły ogromny wpływ na ukształtowanie się osobowości Aleksandra Rybickiego. Wychowany na pograniczu kulturowym i etnicznym polsko-ukraińskim, doskonale poznał i głęboko pokochał słoneczną, barwną i wielowarstwową kulturę tej wspaniałej, górzyściej, kresowej ziemi. Chociaż wiele godzin spędził przed latami w gościnnym mieszkaniu pana Aleksandra, słuchając arcyciekawych opowieści na wszelkie zgola tematy, nie dowiedziałem się nigdy, jak to się właściwie stało, że po kilku latach studiów zrezygnował z medycyny i zajął się (wespół z Stefanem Stefańskim) organizacją Muzeum Ziemi Sanockiej, pierwszej placówki muzealnej w dziejach nastarostego grodu nad Sanem. Było to w połowie lat trzydziestych i już ten fakt pozwolił nam domyślać się u Niego niemałe go już wówczas wyzwolenia na sprawy kultury i przeszłości rodzinnej ziemi. Nie mógł tu nie chęć patrzeć bezczynnie, jak niszczyły się pamiatki kultury materialnej i umysłowej, przekazane współczesnym przez minione pokolenia. Tuż przed wybuchem wojny, trafnie przewidując, jakie niesie z sobą za-

Adam Smulikowski, przełożony Aleksandra Rybickiego w okresie jego działalności w Armii Krajowej, tak o nim napisał: „Nie ma prawie wsi, gdzieby nie rezydował ktoś, utożsamiony do sieci „Jacka”, nie działała melina, albo zgola ktoś, kto by natychmiast, jakąś mistyczną drogą łączności „Jacka” nie zawiadomił, że zjawił się człowiek, którego trzeba przenocować, przetrzeć itp. Sam „Jacek”, dziwny osobnik, medyk z wykształcenia, a miłośnik sztuki ludowej, sentymentalny romantyk z usposobienia i przy tym najbardziej trzeźwy, na zimno kalkulujący konspirator. Człowiek o niebywałym zapale, gotowy w każdej chwili na najbardziej ryzykowną akcję — a kamieniem spokojny, opamiętany, kiedy w chwili niebezpieczeństwa podejmuje decyzję... „Jacek” jest zawsze tam, gdzie najbardziej potrzebuje”.

Jako dyrektor muzeum skansenowskiego, mimo braku odpowiednich studiów etnograficznych, Rybicki wykazał ogromne zdolności organizacyjne i wyjątkową inwencję; to on wraz z zespołem oddanych mu ludzi stworzył liczne rozwiązania, metody i formy działania, które przejęte zostały później przez inne polskie muzea tego typu. On też

zapoczątkował rozwijającą się po dzień dzisiejszy współpracę z muzeami oraz instytucjami z zagranicy, zajmującymi się kulturą ludową. Przez jego mieszkanie przewinęli się dziesiątki uczonych, specjalistów, dziennikarzy z wielu krajów europejskich; wszyscy oni wyjeżdżali z Sanoka urzeczony bogactwami osobowości pana Aleksandra, jego wiedzy, inwencją, wreszcie talentami kolekcjonerskimi i kulinarnymi.

Po odejściu od czynnej pracy zawodowej, w ostatnim okresie swego życia, koncentrował się na pasji, która bliska mu była od czasów młodości, na kolekcjonerstwie. Odbardzony wyjątkową łatwością w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi, wyposażony nie jako w „szoty” zmysł, potrafił dosłownie spod ziemi wydobywać cenne zabytki. Najcenniejsze zdobył wzbogacając zbiory krajowych muzeów, w ich liczbie również muzeum na zamku, na Wawelu. Z pozostawionych przez siebie kolekcji, którymi zasiał zbiory muzealne południowo-wschodniej Polski. Szperacz z pasji i zamiłowania, posiadał wraz z wpływem lat ogromną wiedzę; dla każdego dzieła sztuki czy zabytku kultury ludowej, opracowywał pełną metrykę, dotychczas jego pochodzenia, epoki, warsztatu itp. Stał się człowiekiem szczerze znanym w kręgach kolekcjonerów, zyskując sobie miarę autorytetu w dziedzinie znajomości tajemnic starych porcelan, fajansów, srebra i ceramiki huculskiej. To on właśnie stworzył największą liczebnie, najbardziej zróżnicowaną pod względem artystycznym kolekcję ceramiki huculskiej — którą podarował, idąc niejako w ślady największych polskich kolekcjonerów, w roku 1978 ukochanemu przez siebie miastu, Sanokowi. Był to gest doprawdy królewski, wspaniały, ale nie o gest chodziło Rybickiemu, lecz o spłacenie niejako swoich „dlugów” wobec miasta, które zawsze było mu najbliższe...

Sanok pożegnał go, odprowadził w ostatnią drogę w październikowy, rozświetlony słońcem, błyszczący wszystkimi kolorami jesieni, dzień. Na grobie Aleksandra Rybickiego wyrzył można z pełnym przekonaniem horacjaną wersję: „non omnia moriari”.

przeżyliśmy

„W „PODKARPACIU” — artykuł pt. „Uniwersytet w Krośnie?”, którego autor (ab) pisze: „Obok szkół podstawowych i średnich działa w Krośnie polskie Państwowe Studium Kulturalno-Oświatowe i Biblioteczne, utworzone w miejsce istniejącego dawniej Studium Nauzyckiego...”

I września br. powstał w Krośnie, tytułem oświatowego eksperymentu, międzyresortowy zespół szkół. W jego skład wchodzi: PSKOIB z czterema oddziałami, 156 słuchaczami, studium na kierunkach: taniec, fotografia i film, rekreacja i turystyka oraz bibliotekarstwo; Studium Naukowe Początkowych, Połecalne Studium Zawodowe dla Pracujących Zaoczne, kształtujące w zakresie administracji państwowej, ekonomiki i organizacji przedsiębiorstw i Państwowa Szkoła „Wzręcz” z 17 oddziałami i ponad 400 uczniami. Łącznie w nowo utworzonej placówce kształci się ponad 800 słuchaczy i uczniów.

Nie jest to jeszcze, co prawda uniwersytet, jednakże zespół ma charakter szkoły półwyszej i duże perspektywy rozwoju, kto wie czy nie użeszli wyższej uczelni...”

Dalej autor omawia integrację szkół, trudność kadrowe i lokalowe, braki w pomocach naukowych, sprzecze i wyosławieniu. Skąd zatem pytanie, zawarte w tytule? Nie wiadomo. Ktoś w Krośnie jest niesamowitym wręcz optymistą, uważając iż od studium początkowego do uniwersytetu jest tylko mały krok. Przynajmniej nie okres „radonej twórczości”, a przecież czas nie po temu. Ktoś złożył może powiedziec, że Krosno zaszczyca Rzeszowian, gdzie też zamysła się o utworzeniu w przyszłości uniwersytetu. Tyle, że na bazie kilku wyższych uczelni i kadra nauczycielska akademickich, a nie na bazie studium ponauczycielskiego...

„W „ŻYCIU PRZEMYSKIM” — wywiad z dyrektorem Wojewódzkiego Domu Kultury Wojciechem Władczykiem „O problemach kultury”. Oto fragment:

— Jeśli koncepcja autorskiej placówki ma być tym, co uzdrowi kulturę, to „autor” nie może być już specjalistą od obróbki skrawania...

— Oczywiście — wracamy znowu do sprawy kadr. Niech mi pani wskaże uczelnie, gdzie się tych ludzi kształci. Były pewne przedsięwzięcia w tym zakresie, np. kursy kwalifikacyjne: teatru, filmu, fotografii, ale to wszystko kropa w morzu. Sukcesy rozwiązań we własnym zakresie. Chociażby utworzenie Państwowego Zaocznego Studium Oświaty i Kultury Dorosłych z Międzywojewódzkim Ośrodkiem Dydaktycznym, który mieścił się w Przemyśle. Kształca się tu aktualnie i przyszli pracownicy kultury z siedmiu województw Polski południowo-wschodniej. Znają realia, a jednak nie klarują podjęcie pracy w takich ośrodkach...

— Oby te prognozy się sprawdziły, bo często się przecieł zdarza, że absolwenci szkół i uczelni woła zostać w mieście, podejmując pracę w innym zawodzie, byle nie wracać do „małych ośrodków”, czyli na wieś. Ciekaw jestem, jak procent absolwentów przemyskiego Studium dotrzyma swoich zapowiedzi, składanych na początku nauki...

„W „TYGODNIKU NADWISLAŃSKIM” — relacja Anny M. Ciesiołki z dyskusji o sporcie wiejskim pt. „Piwo na baluku”.

Kilka fragmentów z tego, co autorka zanotowała:

Głos II: — Do tej pory nie mieliśmy kłopotów finansowych, bo od czasu do czasu robiłmy zabawy i dochód z nich przeznaczaliśmy na własne potrzeby. Teraz, gdy nie wolno nam sprzedawać piwa ani wina — zabaw nie oplaca się organizować...

Głos III: — Gdybyśmy mogli zrobić zabawę z tym alkoholem byłoby pieniądze i ktoś by nam pomagał. Znają realia, a jednak nie klarują podjęcie pracy w takich ośrodkach... Oby te prognozy się sprawdziły, bo często się przecieł zdarza, że absolwenci szkół i uczelni woła zostać w mieście, podejmując pracę w innym zawodzie, byle nie wracać do „małych ośrodków”, czyli na wieś. Ciekaw jestem, jak procent absolwentów przemyskiego Studium dotrzyma swoich zapowiedzi, składanych na początku nauki...

Głos IV: — Nastąpił jakiejś pomieszenie noję! Alkohol i sport. Jestem przeciwny łączeniu tych dwóch rzeczy. Karygodne jest przecieł to, że gdy przyjeżdżamy do jakiejś drużyny — tam już czeka beczka wina, która rozbija się i zaczyna przez rozpamiętanie meczu. Z drugiej zaś strony — jak choćby nie wyjdzie, to się nie bawi. Manna nie będzie spadała nam z nieba, więc wspomniane przez innych rozmówców zabawy muszą być organizowane. A dochód w całości przeznaczac dla LZS.

Głos V: — Po co dyskusyjny, czy piwo winno być na zabawach, czy nie. Przecież wiadomo, że być musi...

Głos VII: — Zebrałmy się chyba nie w tym celu. Mamy rozmawiać o krzewieniu kultury fizycznej na wsi, a rozmawiamy o piwie...

No właśnie. Autorka miała sporo odwagi, że spisała te dyskusje o rozwoju sportu wiejskiego i podała ją do druku. Bednie miała przeciwko sobie cały świat sportowy województwa tarnobrzeskiego. Ale chwala jej za to. Uchylła rąbka tajemnicy, jaka mentalnością legitymuje się różni „działacze” sportowi. Wiadomo — sport to zdrowie. Wiele trzeba na to, zdrowie zarobac. Sprzedając alkohol, Innej drogi przecieł nie ma... CZYT.

odnotowujemy

KROSNÓ W Rejonowym Domu Kultury w Jasiole wystąpił kabaret Bogdana Wrocławskiego z programem „Ostatnia zmiana”.

Tamże odbył się przegląd artystycznych zespołów kolejarzskich z Bochni, Przemyśla, Jasła i Rzeszowa.

W Rejonowym Domu Kultury w Sanoku zorganizowano kiermasz starej książki.

Tamże Teatr im. W. Siemaszkowej wystawił „Kłopoty z bóla Madeja”.

W kawiarni WDK odbyło się spotkanie z poetą Józefem Janowskim.

W klubie „Piwnice” WDK odbyła się prezentacja płyt Boba Dylana i Leonarda Cohena oraz zespołu „Ruch”.

W WDK zorganizowano kolejną „Niedzielę z tatamiem”. W programie m. in. spektakl teatralny.

W klubie MPiK czynna jest wystawa malarstwa Herberta Schugera z Austrii.

W MOK odbył się Międzynarodowy Turniej Tańca Towarzyskiego „Polonez 83”. Wzięły w nim udział pary taneczne z Anglii, NRD, Polski, ZSRR.

W klubie „Bohema” odbył się koncert piosenki żołnierskiej pt. „Idzie żołnierz borek, iasem”.

W Filharmonii odbył się koncert zespołu jazzowego René-Úrtergera z Francji — uczestniczącego w tegorocznym festiwalu „Jazz Jamboree”.

Krystyna Swierczewska

PRZED SEZONEM

ŚMIECH TO ZDROWIE

„Po rozmowach z Organizacją Widowni, biorąc pod uwagę sondaż publiczności i bacznie obserwując reakcje widzów podczas spotkań teatralnych, a także licząc się z siłami i predyspozycjami zespołu aktorskiego, przedkładam projekt planu repertuarowego Teatru im. W. Sienkiewicza w sezonie artystycznym 1983/84” — napisała dyrektorka Matylda Krygier...

Duża Scena

- 1. Eugeniusz Zamiatin — „Pchła”
2. Lucjan Rydel — „Bellefem polskie”
3. Aleksander Fredro — „Revolwer”
4. Moller — „Grzegorz Dymala”
5. Adam Bunsch — „Święta czereśnia”
6. Heraklitos Lubomirski — „Historia Lopeza Staroego”
7. Carlo Collodi — „Pinokio”

Mala Scena

- 1. Feliks Falk — „Tam i z powrotem”
2. Geörgy Schwajda — „Hymn”
3. Eugene O'Neill — „Księżyc świeci nieścisliwym”
4. Edouard Manet — „Jednooki”
5. Fiodor Dostojewski — „Temat z „Idioty”
6. Cervantes — „Teatr cudów”
7. Joanna Kulmowa — „Dyrektor teatru”

Gdy rozmawiamy w połowie października z Matyldą Krygier, już na pewno wiadomo, że jedna z tych propozycji, czyli „Bellefem polskie” Rydla, nie zostanie brana pod uwagę, druga — „Pchła” Zamiatina za dwa tygodnie będzie skończoną premiera, trzecia — „Tam i z powrotem” Falka, po rezygnacji pierwszego reżysera z jej dokonania, po kilkunastu próbach wezła ponownie w próby z następnym reżyserem i dalej jest in statu nascendi.

Pewne jest także, że należy zdążyć na „Dni Muzyki Kameralnej” z „Historią Lopeza Staroego” albo z „Dyrektorem teatru”, bo zagrać się rzeczą na scenie teatru krakowskiego Lubomirskiego dla owych stu konserwatorów rozsmakowanych, których ona może pomieścić.

Pewna jest także druga bajka w sezonie, czy to będzie „Pinokio”, czy jeszcze coś innego — nie wiadomo.

Wszystko inne dalej pozostaje w sferze alternatywnych propozycji, bo wiadomo, że teatr nie zagra siedmiu sztuk na dużej scenie i siedmiu na małej, tylko zagra w ogóle siedem do ośmiu premier. Skoro gra się już jedną bajkę o słońcu Madeju, zagrałyby się „Pinokio” lub coś zastępczego, skoro w przygotowaniu są dwie premiery, skoro musi być Lubomirski z powodu festiwalu w Łodzi — to może się jeszcze zagrać albo Fredro albo Moller, czyli alternatywnie „Revolwer” albo „Grzegorz Dymala”, no może jeszcze autora „Konia Parowego”, na którym przeważnie się Osterwa w Krakowie i Warszawie lat trzydziestych, czyli „Święta czereśnia” Adama Bunscha. Realnie więc na dużej scenie można liczyć w najlepszym razie na trzy premiery, uwzględniając najbardziej przedłożone Wydziałowi Kultury i Sztuki propozycje Matyldy Krygier.

A na małej scenie? Poza Falkiem w przygotowaniu — na pewno odbędzie się owo coś z Dostojewskiego jako warsztat szkolny Marka Gajla, studenta krakowskiej PWST. I na dobrą sprawę byłoby to już minimum wymagane, czyli owe siedem sztuk w sezonie.

Sytuacja osobowa Teatru im. W. Sienkiewicza wygląda zaś tak, że odeszło z końcem sezonu czterem aktorów — przyszło dziesięciu aktorów i w trakcie sezonu — z powodów na tyle bulwersujących, że aż wymagalających osobnego artykułu — złożyło wypowiedzenie jeszcze dwoje aktorów.

W porównaniu z ostatnimi sezonami byłoby to niewątpliwie bardzo poważny.

Wśród nowo przybyłej dziesiątki ludzi z teatrów Białegostoku i Tarnowa, znalazł się

przed wszystkim czekiwany od trzech lat Zdzisław Kozieł — aktor na tyle znamienity i lubiany w Rzeszowie, że muszę go wymienić i od razu zapytać co zagra, jak zostanie wykorzystany?

Ponieważ poszliśmy i dla ratowania kasy — jak oświadczyła dyrektorka Krygier — rozpoczął sezon „Skiz”. Kozieł gra w „Skizie” Tola. O tym niezwykłym pomysle obadwom — będzie obok, także — i o ratowaniu kasy. Co jeszcze może zagrać Kozieł? Grzegorz Dymala? Zaspiewać w „Dyrektorze teatru”? W „Pchle” nie gra. W „Tam i z powrotem” także nie przewidziano jego udziału. Miałby zatem jeden z filarów niewielkiego zespołu zostać nie wykorzystany? Nie wiem.

Ze spraw osobowych jeszcze warto zaznaczyć, że od lipca br. została przyjęta na etat kierownika literackiego Bożena Winnicka z Krakowa, która w ostatnich dniach pokazała się w teatrze, oraz Marek Chelminiak, jako etatowy reżyser.

Wśród proponowanych reżyserów znajduje nazwiska: Janusza Kozłowskiego, który zastąpi Waldemara Śmigalskiego w „Tam i z powrotem”, czyli w sztuce na małą scenę, rodząca się z dużymi przeszkodami i równie dużymi kosztami, Jerzego Wróblewskiego, który rozbilił „Revolwer”. Jacka Bunscha, który rozbilił sztukę Adama Bunscha oraz J. Medweckiego, który rozbilił „Pinokio”.

Scenografie będą dalej gdzieś i Polską, tak zresztą jak i reżyserzy, co dzieje się niepokojąco długo w tym teatrze, niefrasobliwie rozbawionym jakiegoś stałego oparcia w stałej kadry artystycznej w momentach zmian dyrektora, co też dzieje się z niepokojącą częstotliwością. Dlaczego nikt nie stara się o zapewnienie tych etatów, które zawsze przynależało do teatru jako władca — nie umiem wyjaśnić; wiem natomiast, że taki stan rzeczy — z chwilą rezygnacji dyrektora — powoduje zupełnie potworne zamieszanie w pracy teatru, czego dowodem był ostatni sezon.

Sezon przedziwny, w którym teatr kierowany był zespołowo i tracił powoli to, co z takim trudem udało się zlepić Wojciechowi Zeldlerowi — czyli zespół nie tylko artystyczny, ale także doskonały zespół techniczny, które dopiero w harmonijnej symbiozie mogą tworzyć wartości czysto teatralne.

Wspominając miniony sezon należy także zapytać, kto dopuścił do takiego maraństwa jak odcięcie z afisza no 13 przedstawieniach spektaklu „Powsinni Beskidzkie” Zygadłowicza-Jeslona, dobrze przyjętego przez publiczność, nagrodzonego na spotkaniach teatralnych, a kosztującego 487 tysięcy złotych? Gdyby te pół miliona złotych niefrasobliwie wyrzuconych — bo bez jednej przylimki i uzupełnie przelali młodymi zastępstwami w miejsce aktorów, którzy odeszli z teatru, z gigantyczną scenografią zalegającą magazyn, podzielili przez trzydzieści przedstawień, otrzymalibyśmy wartość hiperealistycznej niegospodarności, która cieniem się kładzie na bilansach w tegorocznej dotacji na teatr.

Równym cieniem kładzie się na gospodarności teatru pomysł, by w 4-obosobowej sztuce pt. „Skiz” aż dwie role pomysłane były jako występy gościnne: sztuka, która ma ratować kasę, to sama kasę zmusza do dodatkowych kosztów? Gdybyż do roli Lulu udało się zaprosić Barbarę Kraftównę, a do roli Witusia — Piotra Fronczewskiego, celowość takiego zabiegu mogłabym jeszcze zrozumieć, bo tłumaczyłby się artystycznie. Tak jak jest — nie go wytłumaczyć nie zdoła.

Powiedział Stefan Jaracz w swoim testamentie artystycznym:

„Wielka reforma teatru nie polega na tym, czy on ma być państwowy, czy spółdzielczy, nawet nie na tej czy innej sporadycznej odmianie artystycznej, ale na jasnym uświadomieniu sobie, czym chce być aktorstwo. Mówię ogólnie: aktorstwo, włączając oczywiście w to pojęcie wszystkich pracowników teatru. Czy chce i czy jest dojrzałe do tego, aby służyć jakiejś idei nadrzędnej? I ponosić pełną i świadomą odpowiedzialność za taką postawę?”

Jaka jest idea repertuaru, który otrzymał w tym sezonie? Dyrektorka Matylda Krygier oświadczyła mi wprost:

— Nie wiem, jaki teatr chce robić. Nie lubię nazywać tego co chcę robić, bo lubię się wywyższać z obietnic. Jedno wiem na pewno, że chcę robić teatr potrzebny w mieście.

W jaki sposób robić teatr potrzebny w mieście przy pomocy „Revolweru” czy „Grzegorza Dymala”? Przy pomocy Zapolskiej? Przy pomocy owych dwóch bajek dla dzieci w jednym sezonie? Przy pomocy niegrywanego autora Adama Bunscha, którego prekursorskich jasnowidzeń bynajmniej nie neguję, ani tym bardziej kryzysowych smaczków, jakie dąłoby się „wyciągnąć” ze „Świętej czereśni”, alii on sam przyznał, że wielki Osterwa „wylażył się” na jego komedii?

Uzasadnienie nurtu komediowego, jaki nieludnie wydedukować z jednego zdania pisma — propozycji repertuarowych do WKiS, wzięło swój rodowód z obserwacji publiczności na narodowych spotkaniach teatralnych: dylemat dla mnie na tych spotkaniach czaił się gdzieś między „Galaską rozmarynu” a „Transatlantykem”.

W mieście pięciu wyższych uczelni, kilku tysięcy studentów znowu przeważa myślenie znanym Zapolskiej: „To wszystko jest reklama na prowincję”.

Nurt teatru plebejskiego — zgoda, ale nie obok komedii pomyłek, farsy, staropolskiej krotchwil.

Zadawamy się tym śmiechem, tymi różnymi jego odmianami.

I do szczętu opustoszełe teatry, z uporem kłwając w tzw. lekkim repertuarze, sam dobrowolnie jezdzicie na margines dnia codziennego.

Powstała mądra idea teatru szkolnego, polegająca na współpracy aktorów zawodowych z uczniami szkółami podstawowymi w mieście pod miastem oraz z pięcioma szkołami średnimi. Ta współpraca ma uformować „ABC” przyszłego teatromana, przynieść rzeczywistą wiedzę o sztuce. W wolne poniedziałki aktorzy powędrują więc do szkół z teatrem i z godzinny przedstawieniem. Są na to pieniądze, jest entuzjazm wokół sprawy, zostały uczynione początki weale udane. Tylko rodzi się pytanie, w jaki sposób ten zespół aktorski zespół i ledwy reżyser etatowy, który został kierownikiem owej sceny szkolnej, da radę jeszcze i to zamierzenie wziąć na swoje barki? Kożem jakich wyrzeczeń artystycznych? Jakich ujemnych bilansów ogólnych tegorocznego sezonu?

Są to wszystkie pytania niespokojne, rodzące się w okresie reformy teatru, która może paść nader płytko, że teatr jest przedsiębiorstwem; ale jak wówczas udowodnić szczególną rolę teatru w kulturze i w życiu społecznym?

„Są teatry — furmanki i teatry — rakiety kosmiczne” — powiedziała kiedyś w Rzeszowie Lidia Zamkowa, jak zwykle z wielką egzageracją. Zapewne podrodku ułożył się przewidywał teatr dobrych rzemieślników, kierowanych przez ludzi ambitnych i z pomysłami.

Przed sezonem warto pomyśleć, z jakim zapałem przyszłoby się przesiadać na furmankę, z wozu Tępsia, który wędził dotychczas, dokąd i po co zmierzają.

A poza tym pamiętajmy jeszcze jedno: ten teatr powinien przygotować w tym sezonie wielką sztukę na jubileusz 40-lecia, kiedy to znowu będzie się wspominało wielkie narwiście tej sceny, dobrych jej gospodarzy, wybitnych aktorów i ów czas, gdy był Teatrem Narodowym.

Na razie myślę o sejsj teatralnej, poświęconej Sienkiewiczowi; czy nie pora to już, by powołał skromny komitet obchodów tego jubileuszu? Komitet, który w razie czego dałby swój głos obrońcy, gdyby widownia nie zaakceptowała tych różnych rodzajów humoru, pomieszczonego w propozycjach repertuarowych i w kasie ukazałoby się dno?

PO PREMIERZE



Światowe nic

„Dwóch mężów, dwie żony — światowe nic w 3 aktach na 4 osoby” — oto jak napisała do Stanisława Janowskiego z Włoch 3 marca 1907 roku Gabriela Zapolska o „Skizie”.

To „Światowe nic”, odkąd zostało napisane, weszło triumfalnie i na stałe do polskiego repertuaru komediowego, raz grane z wdziękiem, z dyskrecją, z szacunkiem dla psychologii, a nawet z odrobiną gorzkiej refleksyjnej nad instytucją małżeństwa — drugi raz zarzynane bratową prowincjonalną trupą czy nadmiernej ferokcją amatorów. Bo też trzeba przyznać, że sztuka to wdzianca dla teatrów małosobowych, skrzęta się dopomniemy dialogami, salonowymi bamszami, chimerycznymi nastrojami, pasterskimi przebiegami. Przy tym sztuka o miłości i przywiązaniu. Atutowa Karta swana skłama oznacza właśnie to przywiązanie, przystojęzajenie, przyjaźń na dobre i złe, a raczej na dłużej życia, kiedy wypadł się miłość i kiedy dajże omejdajszych kochanków tępie już artetymz równie do kłótni, co pustka mającego życia.

Czującą, starzejącą się Lulu grywały najwziętsze aktorki: przed rokiem na rzeszowskiej scenie zagrała ją Barbara Kraftówna, przejmująca i piękna. Tola grywała najwziętsi aktorzy: na rzeszowskiej scenie partnerował Kraftównie Holoubek. Wyżabiali „Skiz” najwziętsi reżyserzy; ten zobawiony przed rokiem „Skiz” wyreżyserował Witold Zatorski — uspaniała karta, już zamknięta, niestety, teatru współczesnego. Było to przedstawienie nostalgiczne i zarazem kabaretowe niemal w swoich rytmach, aktorsko na najwyższym poziomie, scenograficznie urzekające, gdzie „Światowe nic” światowemu odkrywając przed nami wielki talent autorki, dający nieustannie pole do popisu możliwościom wielkiego aktorstwa i dobrego teatru, które szukają ukrytych w nim znaczeń.

Powinny się po tym przedstawieniu, tak zupełnie jeszcze świeżym w naszych oczach, na wystawienie „Skiz”, świadczący o desperackiej odwadze z co najmniej nadzwyczajnych powodów.

Tymczasem powód był jeden i to dość prozaiczny, przy tym zupełnie zawiśli. Tym powodem miała być kasowość sztuki, przy niedoświadczonych niewielkich kosztach wystawienia. Tymczasem kasowa wystawienia ucale niewielkie nie są, bo w przedstawieniu na 4 osoby aż 2 grają gościnnie — a to po prostu znaczy, że teatr dopłaca do kosztów rzeczywistych oraz, jak wiecie nie, przedstawienie dożywa dni swoich, bo aktorzy, gościnnie występujący, są zatrudnieni w macierzystych teatrach Krakowa oraz Nowej Huty i tam najpierw piniąją swoich obywateli.

Zaś na sali osobiste widziałam parę pustych rzędów, kilkunastu żołnierzy i bardzo dużo młodzieży, wśród której trafiali się zupełnie nieletnie dzieci. Czyli nihil woli sub sole.

Tola gra Zdzisława Kozieł. Co się robi w takim przypadku? W takim przypadku chodzi się do teatru na Koziełnia!

Tymczasem ten uspaniały aktor, obity w przycymy bez taktów, czuje się w tej konfrontacji jakby zranowany, i jakby chciał uprzężyć z góry; oczywiście, tosztyko zagram, ale po co?

Bowiem jak ma się czuć ten wielki rubacha w salonowym tużurku Tola boa wietuży?

Więc jest na emigrację wewnętrzną wobec tej postaci hawidamka i pieszczoch kobieci, on, rzeczywisty emigrant omejdajszy, mówiący krotkie Mrokiem, a teraz zmu-

szony przetrwać dyskretnie salonowe bon-moty pani Gabrieli.

Wyzwała tedy całe ciepło z tego bisurmana Tola, klóci się kałitale z Lulu, niecierpliwie odtonia całą scenę salotów z Muszką, by wreszcie siłą przy kominku, odciekając i spokojnie ze starą przyjaciółką pogadać o wazykatoriach.

A Lulu, ta Lulu, o której prawdziwy koniarz Witul, powie marzycielsko: „Kuzynka to jest pięknie związana” — Jak uidił te Lulu Barbara Stesłowicz, co propokuje, występując gościnnie na rzeszowskiej scenie?

Po prostu jest z innego przedstawienia, z innego zobaczenia „Skiz”. Jest zmezoną kobietą, która się grała całe życie swoje małżeństwo; bynajmniej się nie wierzy w tego jej skiza w zanadru, bo jest on ponad możliwości jej psychiki. To nie jest ucale wyrafinowana dama, której bliskie są tajemki salonowych komerazy, to nie jest aktorka grająca spektakl doskonałego zrozumienia w małżeństwie, nie co najwyżej aktorka z wodevillu, która na przyłajnej kanapce klóci się z mężem zapalczynie o podrażnzone imponderabilia małżeńskiego pozycja, klóci monotoniem i zadaje, czyniąc z zabawy w salonie zwykły przedświełek placzliwości. Śmieć twierdzić, że to jest klótnia gina skizy, dółkowy i uszelkie atuty. Gna — bo za często są wyjmowane i nieco szarżują tę grę pozorów.

Muska i Witul natomiast są po prostu sympatyczni; mała, zwiewna Muska Barbary Zielińskiej — bynajmniej nie taka mała — gra współczesną dziewczynę od początku do końca; zniecierpliwiona kostiumem z epoki kopnie up tren partnerki, gdy energicznie zaczyna udowadniać swoje prawa do mężczyzny. A Witul Jerzego Hoidy — ucale bystry żonkisz — ma raczej, gdy wiczym się nie przejmując, co najwyżej rozpęklócia wdziętego wolo...

Przedstawienie swoje niezłe tempo zwadzięca reżyserce pani Jadwidze Marso. Lulu pięknie nosi swoje dojrzały fiolety; widak, że kostium stwarza jej spore satysfakcje.

Na odwrót Kozieł — Tola; zamknął się w tej swojej marynarce nie na miarę, postawil kolnierz i zdąza czym prędzej do H-nala.

Co i napisawszy, na koniec zapytuje: kiedy zobaczymy Kozienia w pełni jego dojrzałego aktorstwa, w roli pozwalającej mu rozwinąć tę całą gamę charakterystyczności, ciepła podżytego humorem, vis omnia, na którą przociały całe zastępy pomocników Pana Boga? Kiedy? I dlaczego nie od razu? Nie pod Kozienia zagrało się spektakl, jak to miało miejsce w pamiętnych „Emigrantach”, sztuce jeszcze mniejszej obsadzone, jeszcze mniej kosztownej, a przecież przedstawiającej o mądrej wdzięczności polityce teatru?

Przeżegam przed zniszczeniem aktora, który wybrał rzeszowską scenę, mogąc wybierać sceny w całej Polsce i wybrał po to chyba, żeby na niej grać, zgodny z genre'em swego aktorstwa repertuar?

KRYSTYNA SWIERCZEWSKA

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Mieczysława Teodorczyk

„Konkurs Poezji Współczesnej im. Juliana Przybysia o „Złoty Lemiesz” był trochę fatalny, trochę smutny. Fatalny, bo o niskim poziomie artystycznym, smutny bo prezentował przynajmniej część. Jury pod przewodnictwem Tadeusza Słwiaka nie przyznało recytatorom nagród, ale wyróżnienia. Dwa teatry poezji ze Starogardu Gdańskiego i Buska Zdroju zdobyły pierwsze nagrody. Trzeci nie przyznano. I gdyby dotacje były mniejsze, jury miałyby mniej kłopotów z wyszukaniem recytatorów i teatrów, które choć trochę odróżniały się od bardzo przeciętnego tła.

Obserwując ten konkurs od lat trzynastu i z przykrością muszę stwierdzić, że poziom jego, zwłaszcza w ostatnich latach nie jest najlepszy. Jeszcze dwa lata temu takim najlepszym laureatem, po którym długo, dyskusyjnym laureatem — był teatr milicyjny długo nie było nic — był teatr milicyjny szkoły ze Szczytna. Przedstawili on spektakl zwarty, dynamiczny z dobrymi aktorami i umiejętnym podkładem muzycznym. Tegoroczny konkurs w większości przypadków był bełkotliwy, sprawiał wrażenie, że biora w nim udział ludzie zagubieni, żyjący bez celu, szamocący się wewnętrznie i nie pozbierani i znów, co było podkreślane już kilka lat wstecz, repertuar uczestników konkursu się powtarzał. Jurorzy i widzowie dzięki tym powtórkom zna prawie na pamięć „Telefon dwuletniej Uty” J. Przybysia i parę innych wierszy tego autora. Czy to się? — ktoś zapyta. Może i dobrze, ale nie oto w tym konkursie chodzi. Zaledwie nieliczni sięgnęli do utworów mało znanych w kraju autorów współczesnych, polskich i obcych. Gdzie szukać przyczyn? Zainteresowani konkursem profesjonalni twierdzą, że ruch amatorski w kraju podupada, że brakuje wykwalifikowanych instruktorów dla kół żywego słowa, że coraz mniej w regionach absolwentów „sparowskich” kursów, które doskonale przygotowywały do pracy z młodzieżą poezji i teatru. Problem polega na tym, że animatorami ruchu żywego słowa winni być ludzie po studiach, najlepiej polonistycznych. Miał być nawet utworzony przy bódzkiej PWST kierunek kształcąca instruktorów parających się żywym słowem. Przecież ruch ten to nie tylko zabawa, to

osądzka wielkiej batalii o kulturę narodowego języka, o poprawność, czystość, wzalność. Powie ktoś: „To zadanie dla szkół, a nie dla ośrodków kultury!” Niestety, jak kropkamiem wydziela się w kolejnych redakcjach programu nauczania partie materiału poświęconego literaturze współczesnej. Dopiero po latach uświadomiliśmy so-

„Człowiek człowiekowi zdradą...” Takie i podobne teksty mogły przynębić. Chyba, że się ma trochę w sobie optymizmu i wiary w człowieka i w świat, gdzie nie tylko istnieje samo zło, i nie zawsze. Człowiek człowiekowi wiłkiem. Nie sądzę, by ci młodzi ludzie wierzyli do końca w to, o czym mówią w wybranych tek-

TRZYLNASTY

bie, że zadaniem szkoły jest nie wychowywanie historyków literatury, a ludzi rosemnanych w naszej literaturze w ogóle i wspólczesnej takte. Są co prawda w szkołach kół żywego słowa skupiające nieliczne grono uzdolnionej młodzieży. Byłoby jednak naiwnością sądzić, że wszędzie ich zadaniem jest rozwijanie upodobań artystycznych i pogłębianie wiedzy uczniów interesujących się tą dziedziną sztuki. Rozdzielanie szat nad recepcja poezji współczesnej w szkołach ogólnokształcących może się wywać śmiech w konfrontacji z sytuacją poezji w szkolnictwie zawodowym.

Tadeusz Słwiak twierdził, że repertuar uczestników konkursu jest odbiciem sytuacji w kraju. Ze należoły się jeszcze dodatkowe obciążenia wynikające z napiętej sytuacji międzynarodowej, z wiazącą nad nami groźbą wojny i drążącą naszą psychikę niepewnością. W przedstawianych utworach królowała śmierć, krew, zbrodnia, mord. Oto cytat z „Wywiada z katem” T. Hoiuła: „Nikt nie urwał się ze stryczka, nikogo nie ociono, czasami ktoś narobił, czasami ktoś plakał. Jedna kobieta miała ciekawki i to popuło obrząd, bo krwi się nie przewiduje, a kapela mi na lakiery jakim użył topa...” Prezentował ten tekst młody człowiek. Ciekawie dlaczego wybrał ten przerażający utwór, co go gnebi, o czym myśli, jakie ma cele w życiu? Albo drugi tekst odbierający wiarę w człowieka, jego dobrod, pomoc, humanitaryzm... Człowiek człowiekowi wiłkiem.

Organizator konkursu — Wojewódzki Dom Kultury, jak co roku stanął na wysokości zadania i całą imprezę przygotował bardzo dobrze. Zorganizował warsztaty, zaprosił aktorów profesjonalnych z monodramami, a co najważniejsze stworzył atmosferę ciepła, rodzinna, która długo będą pamiętali uczestnicy imprezy.

Czy to ogólnopolska impreza, z roku na rok wcale nie najlepsza, a kosztująca słono jest w kraju potrzebna? Oczywiście, że tak. Pociążyć na nią można ale tylko po to, by wreszcie wyłącnięto z aktualnej sytuacji ruchu żywego słowa odpowiedzialnie wniośki i zastosowano środki zaradcze. Zarówno młodzi aktorzy amatorscy jak i ich opiekunowie i instruktorzy mogli się na konkursie wiele nauczyć, często na własnych błędach. Jest ten konkurs potrzebny również po to, by móc się przekonać o aktualnej sytuacji ruchu amatorskiego w kraju. Tak czy owak jest on przecież szkoła pracy nad słowem, szkoła nauczania początkowego... bowiem cała tego ruchu jest stała, zmienność, smleniają się amatorzy i instruktorzy odpowiedzialni za jego poziom.

Zespół regionalny z Trzciany laureatem nagrody im. O. Kolberga

Już 10 lat pod auspicjami czasopisma „Barwy” działa komisja przyznająca doroczne nagrody im. Oskara Kolberga, za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kultury ludowej twórcom ludowym, artystom, badaczom, działaczom, popularyzatorom, a także zespołom ludowym. Do tej pory przyznano już ponad 130 nagród laureatom z Polski oraz innych krajów z 5 kontynentów. W gronie laureatów znalazł się wcześniej Franciszek Kotula. 10 października br., odbyło się posiedzenie komisji przyznającej nagrody im. O. Kolberga za rok 1983. W gronie tegorocznych laureatów znalazł się zespół regionalny z Trzciany w woj. rzeszowskim. Przypomnijmy, że zespół ten, którego współzałożycielami byli

Józef i Maria Dziedzicowie, działa już od kilkunastu lat. Zespół specjalizuje się w opracowaniach widowisk regionalnych. Opracował do tej pory: „Swaszczyzny”, „Prozoki”, „Wesele”, „Wielkocowiny”, dał wiele koncertów, występów na antenie Rozgłośni PR w Rzeszowie, w centralnym programie radiowym i telewizyjnym. Ostatnio fragment widowiska „Przadki” zarejestrowała ekipa katowickiego OTV, przygotowująca na terenie woj. rzeszowskiego kolejny program „Mapa polskiego folkloru”. Wreczenie tegorocznych nagród im. O. Kolberga odbędzie się dnia 12 listopada br. w Domu Dziennikarza w Zaborowie. (4)

